KROPKA NAD i

Było to jeszcze przed wojną. Z moim siostrzeńcem Kaziem pojechałem na wieś. Zakukała kukułka. — Wujciu! powiedział ośmioletni Kazio — słychać radio Wilno.

Ta historia z kukułką i małym Kaziem przypomniała mi się, kiedy przysłuchiwałem się dyskusjom, jakie wywołało wystawienie „Elektry" Giraudoux przez Teatr Wojska Polskiego w Łodzi. Było to jedno z najpiękniejszych przedstawień, jakie widziałem od chwili uzyskania niepodległości. Wywołało jednak nie tylko gorącą dyskusję, ale i gorący sprzeciw. Dlaczego?

Przypomnijmy koniec drugiego aktu. Orestes szczęśliwie zabija niewierną Klitemnestrę i Egistosa. Wrogowie wdarli się na mury Argos, zabijają obrońców i palą miasto. Kwitnąca stolica przestaje istnieć. W pałacu królewskim gromadzą się żebracy. Elektra tryumfuje: winni zginęli, niewinni także, ale tak być musiało. Sprawiedliwości stało się zadość. Kobieta Narses, przywódczyni plebsu, pyta, jak to się wszystko nazywa?

Odpowiada jej bóg-żebrak: „To ma bardzo piękną nazwę, kobieto Narses. To się nazywa świtanie".

Większość widzów na sali myśli w tej chwili o powstaniu warszawskim. Jedni się oburzają, drudzy czują się podniesieni na duchu. Ale jedni i drudzy uważają Giraudoux za pisarza A. K. Powiedzmy sobie odrazu, że reżyser uczynił wszystko, co było możliwe, aby sztukę uczynić jak najbardziej wieloznaczną i niejasną. Kobietę z Narsos przybrał w czapkę frygijską, aby reprezentowała rewolucyjne dążenie ludu, konkretne słowo „jutrzenka" (w oryginale francuskim l'aube) przemienił na romantyczne „świtanie", a żebrakom, którzy, o ile dobrze pamiętam, plądrują miasto, kazał przeżywać metafizyczny niepokój o los ojczyzny i sens sprawiedliwości.

Oczywiście to są drobnostki, niewielkie przesunięcia akcentów. Świadczą one jednak o czymś bardzo istotnym, o sprawie dosyć niepokojącej. Nie, nie o politykę tu chodzi. O coś znacznie prostszego! O zamiłowanie do mętniactwa, albo łagodniej o zacieranie granicy pomiędzy mistyką a mistyfikacją.

Reżyser i aktorzy uzasadniali wybór sztuki względami czysto technicznymi, twierdzili, że jest ona świetnym warsztatem pracy dla zespołu teatralnego. Powiem szczerze, nie bardzo w to mogę uwierzyć... Nie sądzę, aby „Elektra" dawała większe pole do twórczych i ambitnych rozwiązań scenicznych od Szekspira, Moliera, farsy staro francuskiej, czy choćby nawet innych sztuk Giraudoux bardziej klarownych, precyzyjnych, jednoznacznych. Chętniej przyznaję rację Ważykowi, który twierdzi, że wybór padł na „Elektrę", nie dla jej wartości artystycznych, ale właśnie dlatego, że dawała ona upust pewnym ciągotom mistycznym, że po lekkim przesunięciu akcentów pozwalała na interpretację mesjanistyczną.

Spróbujmy się porozumieć, to nie jest tylko sprawa bezinteresownych gustów estetycznych. Zwracał już uwagę w dyskusji Leon Schiller jak inaczej brzmią te same sztuki po francusku i po polsku. Myślę o pewnym dziedzicznym obciążeniu polskiego teatru i polskiej literatury. Kiedy Francuz słucha sztuk Giraudoux o greckich mitach, dźwięczą mu w uszach zimne aleksandryny Racine'a, bezlitosne szyderstwa Woltera i zjadliwe żarty Anatola France'a. Dla nas „Elektra" to jeszcze jedno wydanie „Dziadów" i „Kordiana", to niemal nieszczęsny „Hiob" Zawieyskiego, to tragedia bytu narodowego.

Na Zachodzie antyk jest bliski, codzienny, dobrze znany. Jest częścią pejzażu, dźwięczy niemal w każdym słowie. Przekupki sprzedają czosnek i brzoskwinie na schodach zrujnowanych amfiteatrów, a jak twierdzi Jerzy Stempowski w nazwach urzędów i ministerstw zachował się jeszcze nieskażony rytm heksametru. Drwina z bogów greckich i rzymskich ma tutaj wiekowe tradycje. Nie tylko drwina, swobodnie można wskrzeszać dawne mity bez obawy„ że wszyscy od razu uwierzą. Francuzi kochają się w mistyfikacji, ale tylko dlatego, że cenią śmiech, a nie dlatego, że pragną być oszukiwani.

Inaczej u nas... Wywodzimy się, oczywiście, z kultury zachodniej, ale antyk pozostał dla nas czymś bardzo dostojnym, bardzo akademickim i bardzo dalekim. Jeśli bogowie greccy wchodzą do naszego teatru, to przeważnie po to, aby jak w „Nocy Listopadowej" pomagać lub przestrzegać przed powstaniem. Jesteśmy dziedzicznie obciążeni, wystarczy maleńkie słowo „świtanie!", aby dojrzeć na scenie „drama narodowe" i jeszcze jedną historyczną próbę wyjaśnienia tragedii powstań. A tymczasem to tylko ordynarna mistyfikacja, bo maleńkie słowo „świtanie" i dramat „integralnej sprawiedliwości" niczego, ale to absolutnie niczego nie wyjaśnia.

Powróćmy do Giraudoux. To niewątpliwie świetny pisarz i wiele można się u niego nauczyć. Ale może trochę innych rzeczy, niż nam to pokazali inscenizatorzy „Elektry". Można się uczyć mistyki, można się uczyć drwiny...

Jest taka sztuka Giraudoux — „Amfitrion 38". Opowiada w niej autor o zalotach Jupitera do pięknej Alkmeny, żony Amfitriona. Alkmena jest wierna i cnotliwa, za nic nie chce zdradzić męża. Nawet z bogiem. Jupiter musi uciec się do podstępu. Bogom to nie przychodzi z trudnością. Jupiter, o ile dobrze pamiętam, przybiera postać Amfitriona i w ten sposób dostaje się do łóżka cnotliwej Alkmeny. Bogowie także nie mają charakteru. Rano Jupiter oświadcza Alkmenie, kim jest naprawdę. Alkmena jest zrozpaczona i postanawia opowiedzieć wszystko mężowi. Zaczyna się taki dialog. (Cytuję z pamięci).

Alkmena: Zdradziłam cię tej nocy...

Amfitrion: Nieszczęsna, co zrobiłaś? Jak śmiałaś? (Następuje wiele wymyślań).

Alkmena: Nie mogłam się oprzeć. Przebacz mi!

Amfitrion: Kto jest ten nędznik? Wyjaw mi jego imię, abym go zgładził...

Alkmena: Jupiter.

Amfitrion: Idiotka! W bogów nie wierzę. Możesz mnie sobie zdradzać z Jupiterem, ile tylko zechcesz. Przyśniło się babie...

Ten fragmencik wystarczy. Można z niego wyciągnąć dwa bardzo różne wnioski. **Pierwszy**, że zazdrośni mężowie są ograniczeni i nie wszystko na świecie jest takie proste, jak by się to wydawało naiwnym ateistom.

Drugi wniosek, że istnieją bogowie.

Otóż wydaje mi się, że inscenizatorzy „Elektry" uparli się, aby ze sztuki wyciągnąć drugi wniosek.

JAN KOTT

© digitalizacja: Biblioteka Polska